

Wojciech Bauer

AKSJOMAT PRZEJŚCIA

Akk umierał. Wiedział o tym od jakiegoś czasu i nawet przestał się bać. Odspojony od wspólnoty, przeżył całą paletę odcielenia uczuć: od owego strachu, od graniczącej z ostatecznym pomieszaniem zmysłów paniki, przez niepokój, ciekawość wreszcie, aż do pełnej zachwyty euforii. Odbierał swą pojedynczość dziwnie, jak gdyby kokon, który otulał wspólnotę, przestał być otoczką znanej czasoprzestrzeni, przepuścił jego jaźń na zewnątrz i z nadwymiarowego uniwersum pozwalał obserwować to, co dzieje się z glaulią. Nie czuł bólu przenikających go infradźwięków, gdy Madi pożerała go powoli, niwelując glaulię częstotliwością śmierci generowaną przez najbliższych sąsiadów.

Kiedyś, pamiętał, sam był jednym z generatorów śmierci, gdy odchodził Uo. Było to dla niego wstrząs, taki kontakt z przemianami nie zdarzał się często. Większość dilii materializowała się we wspólnocie z nieświadomością istnienia czegoś takiego jak umieranie. Płynnie przechodziły zmianę funkcji, uczestnicząc w ewolucji Madi bez potrzeby utraty poczucia jaźni. Czasem – rzadko – jakieś dilio popadało w dysfunkcję i wspólnota tworzyła generatory. Przez nieskończoność rozwoju wykształcił się automatyzm reakcji; poddźwięki usuwały chory element, a oczyszczona Madi ewoluowała dalej w kolejne wymiary, wynikające w równania ciągu jej postaci.

Akk miał szczęście (pecha?) stać się jednym z generatorów dla likwidacji Uo. Owładnęło nim wtedy nieznanne uczucie, którego nawet nazwać nie potrafił – razem z Uo materializowali się niegdyś z tej samej podsekcji. Obserwował znikającą glaulię

Uo i zdumiał się na widok jego radosnego rozpromienienia, choć tamten powinien był wyć raczej z przerażenia i bólu, żywcem obracany w nicość.

Nigdy nie dopuszczał do siebie myśli, że jego też może to spotkać.

Siedem jednostek był diliem pamięci czasu. Jednym z niezliczenie wielu. Stąd może brały się te wspomnienia, obraz przeżytych w łonie wspólnoty przemian. Przemijały w nim pojęcia własnych istnień, ciąg nieustannego parcia przez kolejne wcielenia glaulii. I coraz bardziej się dziwił. Dziwił się sobie, swemu sposobowi patrzenia na rzeczywistość Madi, tak różnemu od reakcji identycznych przecież pobratymców. Co go wyróżniało? Prawie nic: reagował. To zaniepokoiło wspólnotę, zmutowane komórki nie były tolerowane. Madi nie lubi uśmiercać – dostrzegął to teraz, jak szukała mu miejsca we wspólnocie, jak szybko podlegał przemianom, zmieniając podsekcje częściej niż inni. W końcu trafił tutaj. Było to, zdawałoby się, optymalne miejsce, dla takiego jak on, w nurcie nieustannej ewolucji wspólnoty. Widać tu również stał się zakłóceniem procesu...

Tak, wiedział to dziś mądrością całej podsekcji. Jakby pamięć tego elementu Madi skumulowała się w nim na krótki czas umierania. Siedem jednostek był diliem pamięci czasu. Do teraz.

Jeszcze tylko trochę. Ostatni fragment glaulii rozpływał się w nic. Akk doznawał niedoświadczanego dotąd uczucia: świadomość zapadała się w siebie, wchłaniała się sama, zasysana jakimś odwewnętrznym ciągiem ujemnym. Oto dociera do punktu absolutnego, gdzie jej wymiary wkrótce zapadną się w nieskończoną małość, by wreszcie zniknąć całkowicie. I to

będzie koniec Akka – skonstatował z beznamiętną obojętnością. Jeszcze tylko trochę, jeszcze –

Jakby eksplodował z siebie. Uwolniona z pęt trójwymiarowej w tamtym punkcie czasu glaulii jaźń rozlała się w czymś, co tylko z powodu braku odpowiednich pojęć ośmielał się nazwać przestrzenią. Czuł olbrzymią swobodę, niekrępowaną więzami wymiarów, ruchu, przemijania, wszystkiego, co dotąd ograniczało go do określonego „teraz”. Był hiperuniwersum, był wszystkim, niczym, wszędzie i nigdzie. Upajała go ta świadomość. Poczuł raczej niż zobaczył swą macierzystą Madi, nieskończoną Madi, oto zmienioną w pyłek wśród otchłani prawdziwej nieskończoności.. Madi żyła przez kolejne wymiary uwarunkowane ciągiem równania, on stał się wymiarem wymiarów, gdzie nieskończoność wspólnoty była tylko punktem na osi elementarnej n-przestrzeni.

Z nuworyszowską zarozumiałością określał się Ideą, uniwersalnym źródłem wszechrzeczy. Z pogardą pomyślał o odpływającej z wolna w niepamięć przeszłości. Był potężny. Potężniał stale.

I nagle, gdy już tylko krok dzielił go od akceptacji swej naddoskonałości, zrozumiał, że nie jest sam. Nie zdążył nawet odczuć przenikliwości równie absolutnego osamotnienia, kiedy otoczyła go zewsząd, nawet od wewnątrz, świadomość powszechnej obecności innych jaźni. Zaszemrały gdzieś w nim fragmenty obcych myśli, które przepływały przezeń na wskroś jakby go nie było, jakby nie istniał miliardem wszechświatów, i pojął, że to coś, co go wchłonęło, nie zauważyło nawet jego przybycia. Poczuł się zagubiony. Wokół toczył się niezrozumiały proces, coś działo się poza nim i nie potrafił się w to włączyć, choć wiedział już, że po to tu jest.

Wówczas otrzymał informację. Nie była, jak inne, jedynie przelotnym gościem jego świadomości, odebrał ją wyraźnie, zastopowaną w centrum pojmowania. Zrozumiał, że to on był

jej adresatem, i wszystko stało się jasne i tak proste, że poczuł się lekki i radosny. Już wiedział.

Długo nie mógł się zdecydować. Grzebał w oferowanych światach, grymasił i przebierał, jakby nie wiedział od dawna, który jest mu przeznaczony. A przecież wiedział. Wiedział również, że nie ma wyboru, że jego los determinuje aksjomat przejścia, pojęcie, które narodziło się w nim, miał wrażenie, samoistnie, a równocześnie wiedział, że istniało zawsze, jako prawo nieuniknionej konieczności. Bo nic tu nie było przypadkiem, ani jego materializacja w Madi, ani jego inność i jego śmierć. Ani to, co było przedtem, a co wróciło wraz z kanonem aksjomatu. I ta przyszłość... Był jej przypisany, doskonale zdawał sobie z tego sprawę, właśnie dlatego, że był taki, jaki był. Bronił się przed tym przeznaczeniem, przyszłość wydawała mu się za ciasna w stosunku do wymagań, rozbudzonych wspomnieniami poprzednich wcieleń. Nie pojmował, jak można dać się zamknąć w tak ograniczonej przestrzeni, bez możliwości manipulacji zakresem poznania, jak można marnować jaźń na tak płaską, jednokierunkową drogę. Czuł się skrzywdzony, traktował dany mu czas jak przykrą konieczność, przez którą z niezrozumiałych powodów trzeba przejść, by wrócić i znów poczuć się wolnym. I wtedy zobaczył w tamtym świecie coś, co mu go otwarło. Zrozumiał wielkość aksjomatu. Ten świat, jego przeszłość, był areną. Zdumiał się, widząc jaki bezmiar emocji kotłuje się w owym płytkim, ograniczonym bajorku. Tak, tego jeszcze nie przeżył. „Tam” wolność nie oznaczała zdejmowania kolejnych pęt z coraz to nowych stopni swobody. „Tam” wolność oznaczała Życie. Czekąca go walka.

I znów zwinął świadomość w mikroklębuszek, by zapaść w ciemność i wilgoć. Poczł mrowienie – pierwszy sygnał przepływu życiodajnych płynów. Zdziwił się nowym stosunkiem do pojęcia czasu: nie miał żadnego wpływu na ten wymiar, był

niesiony z jego biegiem siłą inercji. To ograniczenie, wraz z zawężeniem przestrzeni do trzech niezmiennych wymiarów, przestało mu wkrótce przeszkadzać. Dopasowywał się do nowej roli.

Zagnieżdził się w środowisku; było nawet przyjemnie – z miłym zaskoczeniem rejestrował własne prymitywne reakcje na najprostsze bodźce: ciepło, przytulną ciemność i nieustannie dostarczany pokarm. Jeśliby tak miało być już do końca, nie najgorszy byłby to etap. Nie mógł tylko pogodzić z formą życia, w jakiej się odkrywał, informacji o burzliwej przyszłości, o walce i emocjach, niepewności i ryzyku, z którymi się tu pojawił. Im dłużej jednak żył, tym dalej mu było do przeszłości i w końcu zapomniał – tak jak nieprzeliczoną ilość razy przedtem. Straszny ból, przenikający każdy nerw, sprzeciw ciała brutalnie wydzieranego łonu. Ból... i jaskrawe, oślepiające światło. Protestował, mimowolnie rejestrując nowo nabytą umiejętność krzyku. Nie! Nie chciał! Chciał wracać do tamtej ciszy, do spokoju i bezpieczeństwa. Darł się w niebogłosość, jakby krzykiem zdolny był naprawić wyrządzaną mu krzywdę, przywrócić resztki kontaktu z n-przestrzenią. Bo w tamtej chwili bardzo chciał zawrócić.

Ostatnie nici zerwały się nagle. Usłyszał pierwsze słowo.

Jan Świerczek, katolik, lat 76, umierał. Wiedział o tym od jakiegoś czasu i nawet przestał się bać.

Gliwice, listopad 1986